Muza Zaświecia i jej matka

Władysław Pomarański

We Lwowie byłem krótko, bardzo krótko, tylko dwa dni. Byłem tam kilka lat temu w czasie mego pobytu w Polsce. Słyszałem przed wyjazdem z różnych opowieści, że miasto jest zaniedbane, brudne, odrapane, że Ukraińcy robią wszystko, by je zmarginalizować, by go odciąć od historii, by mu ująć co się da z jego dawnej, polskiej krasy. Zaskoczenie moje było totalne. Lwów mimo zaniedbań ze strony władz miejskich i państwowych jest kolorowy, czysty, pełen życia, z cudowną operą, kilkoma innymi teatrami, ogromną ilością muzeów, pełen przytulnych kawiarenek, starych tradycyjnych restauracji, a przede wszystkim zadziwia swym niezwykłym bogactwem architektonicznym. W tym średniej wielkości mieście położonym na obrzeżach kraju, znajduje się tu ponad połowa zabytków całej Ukrainy.

Deptaki miejskie są pełne turystów, przeważnie Polaków. Nie ma tłoku, nie ma zbytniego pośpiechu, ceny śmiesznie niskie (za bilet do opery zapłaciłem 4 kanadyjskie dolary). Chłonąłem to tętno i smaki miasta wszystkim zmysłami. Nie spodziewałem się jednak, że najbardziej emocjonalne przeżycia czekają mnie na Cmentarzu Łyczakowskim i to jeszcze zanim doszedłem do dołączonego do niego Cmentarza Orląt Lwowskich. Jak bardzo Lwów był polski właśnie tu najbardziej widać. Jeden z pisarzy znalazł na tym cmentarzu 141 nazwisk polskich poetów, ktoś inny mówi, że jest tu pogrzebanych prawie 1000 osób o polskim nazwisku i korzeniach, ludzi znanych i zasłużonych. Aleja Zasłużonych cmentarza to prawie wyłącznie nazwiska polskie i niektóre tak znane i ważne dla kultury polskiej, że już w szkole podstawowej słyszałem o nich. Najwięcej czasu spędziłem przed dwoma nagrobkami: malarza Artura Grottgera i pomnikiem rodzinnym Młodnickich i Wolskich. Pomnik Grotgera zauroczył mnie.



Pomnik nagrobny Artura Grottgera.

Dowiedziałem się później, że to dzieło włoskiego rzeźbiarza Parysa Filippi z centralną figurą na nim pięknej, smutnej, rozmodlonej, zamyślonej kobiety. Stałem przy pomniku wystarczająco długo, by się dowiedzieć, dlaczego na grobie mężczyzny dominującą postacią jest kobieta. Wycieczki, przeważnie polskie, podchodziły i odchodziły, z ust przewodniczek dowiedziałem się, że ta kobieta to jedna z najpiękniejszych kobiet Lwowa, Wanda Monné, wielka miłość Grottgera.

Grottger był synem zubożałego szlachcica, musiał zarabiać na życie wędrując od dworu do dworu malując portrety często niezbyt fotogenicznych właścicieli ziemskich i ich często dość puszystych pań. Sam nie był zbyt urodziwy, wystarczy spojrzeć na jego autoportret. W wolnych chwilach malował i szkicował sceny z tragicznej historii Polski. Te obrazy przyniosły mu sławę, poprzez nie Wanda

najpierw poznała malarza. Twarzą w twarz spotkała się z nim w słynnej Strzelnicy na ulicy Kurkowej na balu, gdy miała 17 lat, on był od niej starszy o około 10 lat. Była to miłość od pierwszego wejrzenia i to obustronna, niestety idylla ta trwała niepełne dwa lata. Panna Monné to dziecko potomka uciekiniera francuskiego przed Rewolucją i kobiety z bardzo starej sięgającej średniego średniowiecza rodziny nadreńskiej. Obie rodziny były od kilku pokoleń w pełni spolszczone.

Niestety rodzice Wandy rozeszli się, nią zajęła się mama i ciotka. Ciotka Teresa Wentz osoba wykształcona, bogata i szanowana założyła we Lwowie Zakład Naukowo-Wychowaczy dla Panien w budynkach zakonu rozwiązanego przez cesarza austriackiego. Była to wyjątkowa instytucja. Uczyły tam najwybitniejsze damskie osobistości Lwowa, było to też miejsce spotkań polskiej elity tego miasta – to prawdziwa kuźnia polskiego patriotyzmu. Tu Wanda wyrosła na wszechstronnie uzdolnioną, literacko i artystycznie, kobietę. Była prześliczną dziewczyną. Grottger wiedział, że jego życie się kończy, nabawił się gruźlicy płuc, a wtedy to równało się prawie z wyrokiem śmierci. Arystokratyczna rodzina panny nie widziała przyszłości dla Wandy u jego boku, była bardzo przeciwna ich spotkaniom. Spotykali się potajemnie na cichych alejkach Cmentarza Łyczakowskiego, on nawet upatrzył miejsce, gdzie chciałby być pochowany. Wanda słyszeć o tym nie chciała, natchnęła go myślą, że ich miłość dokona cudu, że wygrzebie się z choroby. Uwierzył chyba w to. By zapewnić dostatni byt swej wybrance wyjechał do Paryża, bo w owym czasie tylko tam można było zaistnieć jako artysta. Zaistniał – sam nawet cesarz kupił od niego serię obrazów o tematyce wojennej. Ale choroba nie ustępowała. Wanda listownie wymusiła na nim by przeniósł się do sławnego wówczas sanatorium w Pirenejach francuskich. Zrobił to i tam zmarł. Wanda spieniężyła całą swoją biżuterię, wymusiła na rodzinie, by zgodziła się na sprzedaż części jej posagu, sprowadziła jego ciało do Lwowa, pochowała w miejscu, które wskazał; co więcej, wyszła za mąż za najbliższego przyjaciela jej kochanego, też artystę malarza Artura Młodnickiego, bo tak przed śmiercią zażyczył sobie jej „Arthur”. Ciało jej należało do drugiego Artura, dusza zawsze i do śmierci do pierwszego. Drugiemu Arturowi to nie przeszkadzało, sam otaczał zmarłego przyjaciela szacunkiem, graniczącym z uwielbieniem. Ich dom stał się muzeum-świątynią pamiątek po zmarłym. W tym domu-świątyni przyszła na świat Maria, nazywana od dzieciństwa Marylą, temperamentem, wykształceniem i urodą dorównująca swej wspaniałej mamie.



Portret Wandy Monné Młodnickiej i jej kochanego w tle.



Artur Grottger, Autoportret

Dziwi mnie, że o tej wspaniałej, szaleńczej, niespełnionej miłości tych dwojga ludzi nie powstała jakaś powieść czy film. Fabuła jest pełna, nie trzeba niczego podmalowywać, upiększać, a w tym szaleństwie nie ma jakiegoś melodramatu. To najczystsza, najwspanialsza miłość, co potrafi przenosić góry. Fakty są tu piękniejsze od fantazji. Na takie wyżyny potrafią się wznieść chyba tylko nasi Kresowiacy i to nie tylko w dziedzinie miłości indywidualnej. Dla nich do dzisiaj słowa Ojczyzna, patriotyzm, ofiara i poświęcenie dla Kraju, polskość to ciągle słowa wielkie, święte. W Polsce obecnie deklamują je najczęściej politycy, tak na wyrost, bo ich czyny i życie niekiedy przeczą temu co wypowiadają usta. Słowa te wśród nas tracą znaczenie, stają się coraz bardziej słowami wstydliwymi. Jaka szkoda, że granice oddzieliły Kresowiaków od nas. Tak bardzo jest ich nam brak w naszej obecnej, zmaterializowanej Rzeczpospolitej.



Wanda Monné autorstwa Artura Grottgera.

Mała Marylka pod opieką mamy Wandy Młodnickiej, w zakładzie dla panienek z bogatych polskich rodzin Lwowa i okolic, założonego przez siostrę jej babci, czuła się wspaniale, miała życie „sielskie, anielskie", była maskotką tej instytucji, znaną całej społeczności polskiej we Lwowie, stanowiła przyszłą doskonałą partię do małżeństwa. Mama przelała całą swą miłość po śmierci Grottgera na nią, dbała żeby ta popularność nie uderzyła jej do głowy, zmusiła ją do intensywnych i wszechstronnych studiów, dbała o jej obycie towarzyskie, prowadziła na wszelkie imprezy patriotyczne. Tak więc to piękne dziecko, obok równie pięknej mamy, stało się od bardzo młodego wieku ambasadorem polskości i patriotyzmu w swoim gronie. Jedną z takich imprez był koncert w 1887 r. we Lwowie Ignacego Jana Paderewskiego. Sala była prawie pusta, bo niewielu wtedy słyszało o tym jeszcze nieznanym pianiście. Czternastoletnia Marylka intelektualnie i emocjonalnie była niemal dorosłą kobietą. Kochała muzykę. Zachwyciła się kompozycjami Paderewskiego i ich wirtuozowskim wykonaniem, ale jeszcze bardziej zafascynowała

ją osoba kompozytora-wirtuoza.

Podobnie jak jej mama, która gdy miała 17 lat, zakochała się w Grottgerze, tak i ona będąc jeszcze młodszą pokochała szaloną, romantyczną miłością Paderewskiego. Pianista miał wtedy 27 lat. Był wysokim, przystojnym mężczyzną z burzą rudopłowej grzywy nad czołem, która szalała na tejże głowie razem z jej właścicielem przy wykonywaniu szybszych utworów. To nie było smarkacze dziewczęce zauroczenie, to była prawdziwa miłość. Paderewski nie wiedział chyba o tym, może się tylko domyślał, bo od tej pory Maryla wykorzystywała każdą okazję by się znaleźć jak najbliżej niego. Szybko stał się sławnym i wyrazy uwielbienia szlachetnie urodzonych dzierlatek stały się codziennością w jego życiu. Uwielbienie Maryli traktował jako należną mu daninę, nie miał zamiaru się w niej zakochiwać. Maryla nie odpuszczała. Kiedy Paderewski był zaproszony na odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, znalazła się tam i ona. Była już w pełni dojrzałą kobietą i jeszcze raz chciała przekonać się o swoich uczuciach po dość długim niewidzeniu Paderewskiego.



Ignacy Jan Paderewski, w czasie, gdy go poznała Maryla.

Posłuchajmy, co na ten temat zwierza się Elizie Orzeszkowej:

Wyrwałam się z matką by zobaczyć Warszawę i… Paderewskiego. I przeceniłam swoje siły, zrobiłam źle. Sądziłam, że po latach tylu… potrafię patrzeć już na niego jak na fatamorganę przeszłości – na widmo snów moich dziewczęcych, które przeszły, a dzień trzeźwy, biały dzień dla mojego życia nastał. Ale czar trwa. Kiedy stanął przede mną… miałam wrażenie, którego do śmierci zapomnieć nie zdołam, że mi ten człowiek duszę zabiera na własność.

Duszy nie zabrał, sama mu ją oddała, on nie kwapił się do zabrania ciała. Przypadło ono bogatemu Wacławowi Wolskiemu przemysłowcowi, nafciarzowi, inżynierowi i wynalazcy. Stworzył dla swej nieco szalonej żony wspaniałe warunki bytu. Kupił wielki dom w przeogromnym ogrodzie, w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Lwowa, w pobliżu Cytadeli. Maryla była już malarką i poetką, duszą marzycielską. Dom przy podgórskiej, krętej, małej uliczce odcięty od życia miejskiego gąszczem rozległego ogrodu zachwycił ją, nazwała go „Zaświeciem" – czymś poza zgiełkiem świata. Tu założyła salon dla ludzi kultury. Razem z kilkoma pisarzami, z których najbardziej znanym był Leopold Staff, stworzyła grupkę poetycką zwaną żartobliwie „Płanetnicy" (płanetnik to pół człowiek, pół demon, przesuwający chmury po niebie). Była duszą wszystkich zebrań. Biedni poeci, niektórzy jeszcze studenci, chętnie tu przychodzili nie tylko na obrazoburcze dyskusje, słuchanie nowych utworów poetyckich, ale i dlatego, by się trochę podkarmić. Mąż bardzo się cieszył z tej aktywności swej młodej, uroczej i wyjątkowo pięknej żony. Była prawdziwą muzą ich Zaświecia. Mimo wszystko jej dusza ciągle należała do Paderewskiego. Świadczy o tym choćby ten wiersz miłosny *Ex voto*, a niezbyt znający się na poezji mąż nie domyślał się, że to nie on był jego adresatem:

Wiem, że nie będziesz dla mnie niczym więcej,

Jak mgłą i snem,

A jednak – w ciszę tę księżycem złotą

Wyciągam ręce z bezbrzeżną tęsknotą

Za widmem twem…



Wacław i Maryla Wolscy.

W kilku podręcznikach literatury polskiej i kilku słownikach do których zajrzałem Maryla Wolska jest wymieniana jako typowa przedstawicielka poezji Młodej Polski, młodszego jej pokolenia. Ten krótki mniej niż 30-letni okres w historii Polski (1890-1918) był jak wybuch wulkanu. Kraj pozbawiony narodowości od stu lat wyrzucał z siebie tłumy geniuszy nie tylko w literaturze, ale w muzyce, sztukach pięknych, architekturze. Co więcej te dziedziny się przenikały: malarstwo przesycone było poezją, poezja zbliżała się do muzyki. W literaturze chodziło o odrzucenie pozytywizmu, materializmu, realizmu, dusza powinna poczuć się wolna, analizować swe subiektywne przeżycia i nastroje. Nastała moda na „nagą duszę" i uprawianie „sztuki dla sztuki". W literaturze pięknej najbardziej nowatorską była poezja i to tworzona w różnorodnych konwencjach i stylach poetyckich jak neoromantyzm, symbolizm, ekspresionizm, impresjonizm, nawet dekadentyzm i naturalizm. „Nowymi Atenami" tej burzy artystyczno-intelektualnej był Kraków, ale liczyła się też Warszawa i Lwów. W „Atenach" (Krakowie) zrobiło się ciasno od dziesiątek genialnych twórców, zarówno mieszkańców Krakowa jak i częstych gości. Wymienię tylko kilka nazwisk: W. S. Reymont, L. Rydel, T. Żeleński-Boy. A. Asnyk, J. Kasprowicz, K. Przerwa-Tetmajer, S. Żeromski, S. Wyspiański, S. Przybyszewski i dziesiątki innych.

Maryla Wolska miała ważniejsze zainteresowania niż pisanie poezji, a gdy wydała od

czasu do czasu tomik, był to rodzaj jej prywatnego konfesjonału, było to rozgryzanie swej duszy i osobowości, a w trudnych okresach życia powrót do swych cudownych lat młodości. W tomikach *Thème varié, Symfonia jesienna, Święto słońca, Z ogni kupalnych* dominuje poezja bardzo prywatna, zamknięta w sobie, o wysokiej kulturze literackiej, w wyrazie nie tylko dyskretna, ale i subtelna. Motyw niewspółmierności między marzeniem a spełnieniem jest stałym elementem w jej wierszach. Oto jedna zwrotka wiersza ilustrująca te nastroje:

Kocham czar wspomnień, smutny wdzięk dawności,

Woń starych dworów, pustki i lawendy,

Roztwory wielkich szklanych drzwi – bez gości,

Myśl, że tak wiele życia przeszło tędy.

Innym głównym motywem jej twórczości to szukanie drogi życiowej i nieskrępowanej przez nikogo wolności wewnętrznej. Tak to wyraża:

Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,

Ścieżką idzie samotna, wolna, jak ptak w lesie,

W pas się słońcu jednemu kłania o poranku.

Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce;

Własna swoja, niczyja, nieznana nikomu,

W zaświat boży swe serce poniesie dziewczęce,

Niby malin, wieczorem, pełen dzban, do domu.

Maryla od dziewiątego roku życia zagrożona była chorobą płuc, dużo czasu z racji leczniczych dla zdrowia spędziła w cudownych okolicach w Sole, potem w Storożkach na wzniesieniu nad rzeką z widokiem szczytów górskich – już jako mężatka przebywała w równie malowniczych Perepelnikach, w dworku i majątku

ziemskim odziedziczonym przez męża po śmierci bezdzietnych kuzynów. Uroki tego miejsca odkryli Płanetnicy – gwarno było w tym dworku w czasach letnich. To miejsce stało się potem przeklętym dla niej miejscem, bo w 1919 r. nacjonaliści ukraińscy w bestialski sposób zamordowali jej gospodarującego tam najstarszego syna Ludwika. Zawalił się jej świat. Śmierć goni śmierć. W trzy lata później umiera jej mąż, rok później matka, znowu trzy lata później najmłodszy syn Juliusz. Do jednej z przyjaciółek pisze: „Skończyło się Zaświecie, jest tylko cmentarz”. Został jej tylko średni syn Kazimierz, który po starszym bracie przejął majątek w Perepelnikach. Córka Beata, malarka, wychodzi za zubożałego ziemianina Józefa Obertyńskiego, córka Aniela, poetka, za Michała Pawlikowskiego, członka bardzo zasłużonej rodziny dla kultury polskiej.



Goście Wolskich w Zaświeciu. Stoją Antoni S. Mueller i Józef Ruffer. Siedzą Leopold Staff i Ostap Ortwin, fot. cracovia-leopolis.pl



Maryla Wolska w Storożce.

W okresie dziesięciolecia po r. 1918 Maryla nie tworzyła. Głównym jej zajęciem była walka o przetrwanie swoje i rodziny oraz niesienie czynnej pomocy dla potrzebujących w umęczonym Lwowie. Za pióro chwyciła dopiero w 1929 r. wydając tomik swych najdojrzalszych wierszy p.t. *Dzbanek malin.* Niczego już nie chce od życia, chce wyzwolenia i by jej nowa „ojczyzna" była podobna to tej uroczej z lat dziewczęcych:

Moje niebo musi pachnieć świerczyną,

W moim niebie będą lasy i góry

– I rzeka tam szumieć powinna,

Ta jedna, jedyna ona,

Jak żadna inna Zielona…

Chodzi tu o rzekę spod Storożki. Maryla umiera 25 czerwca 1930 r. nie gdzie indziej, tylko w swoim „Zaświeciu”, który zachował się do dzisiaj, no i pochowana jest nie gdzie indziej tylko na cmentarzu Łyczakowskim. Przed śmiercią zdążyła jeszcze opublikować dwutomowe dzieło listów i pamiętników swej matki i Artura Grottgera, za co historycy, literaci, artyści są jej niezmiernie wdzięczni.

Na wspomnianym cmentarzu długo stałem przed obeliskiem z czarnego kamienia nad grobem tej wspaniałej kobiety i jej równie wspaniałej matki oraz ich mądrych, wyrozumiałych mężów, którzy dyskretnie stworzyli im warunki do pełnego rozwoju. Dumałem nad tym, że matka ziemia nie tylko zabiera urodę, ale i wycisza najgorętsze serca, najwspanialsze umysły. No cóż! „Z prochu jesteśmy, w proch się obrócimy” – to nieubłagane prawo natury.